

**HONORÉ DE
BALZAC**

GOBSECK

Honoré de Balzac

Gobseck

«Public Domain»

de Balzac H.

Gobseck / H. de Balzac — «Public Domain»,

Pani de Grandlieu ma problem — jej córka, Kamilla, jest związana z Ernestem de Restaudem, synem kobiety niedbającej o majątek i rozwiążej. Ernest jest jednak bogaty, na co zwraca uwagę adwokat Derville, przyjaciel, któremu zwierza się de Grandlieu. Uważa, że stabilność finansowa jest najważniejsza i opowiada kobiecie historię z własnego życia. Udało mu się zostać adwokatem tylko dzięki pożyczce od Gobsecka, holenderskiego Żyda, lichwiarza. Balzak przedstawia opowieść w opowieści, jedną ze swoich charakterystycznych strategii. Opisuje system zawichości finansowych Francji oraz porusza problem społeczny związanych z lichwą i pozycją lichwiarzy. Gobseck należy do cyklu Komedii Ludzkiej autorstwa Honoriusza Balzaka. Na serię składa się ponad 130 utworów, połączonych przez wielu powtarzających się bohaterów. Autor ukazuje człowieka niemalże jako przedmiot swoich badań obserwowany w różnych środowiskach. Ważnymi tematami Komedii Ludzkiej są finanse, obyczaje oraz miłość.

© de Balzac H.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

12

Honoré de Balzac

Gobseck

Baronowi Barchou de Penhoen.

Wśród wszystkich wychowanków kolegium Vendôme, jesteście, jak sądzę, jedyni, którzy się odnaleźli w życiu literackim, my, którzy uprawialiśmy już filozofię w wieku kiedy powinniśmy byli uprawiać jedynie De viris! Oto utwór, który pisałem w chwili, gdyśmy się spotkali i podczas gdy ty pracowałeś nad swymi pięknymi dziełami o filozofii niemieckiej. Tak więc żaden z nas nie chybił swemu powołaniu. Ujrzysz tedy z pewnością tutaj swoje nazwisko z tą samą przyjemnością, z jaką wpisuje je twój stary kolega szkolny
de Balzac.

W zimie roku 1829 na 1830, o pierwszej po północy, w salonie wicehrabiny de Grandlieu znajdowały się jeszcze dwie osoby nienależące do rodziny. Młody i przystojny człowiek wyszedł, słysząc bicie zegara. Kiedy turkot powozu rozległ się w dziedzińcu, wicehrabina, widząc już tylko swego brata oraz przyjaciela domu kończących partię pikiety, podeszła do córki, która stojąc w salonie przy kominku, niby to przeglądała album i słuchała oddalającego się kabrioletu w sposób usprawiedliwiający macierzyński niepokój.

– Kamillo, jeżeli nadal będziesz zachowywać się z młodym hrabią Restaud tak jak dziś wieczór, zmusisz mnie do tego, że go przestanę przyjmować. Słuchaj, moje dziecko, jeśli masz zaufanie do mego serca, pozwól mi prowadzić się w życiu. W siedemnastu latach¹ nie można jeszcze sądzić o przyszłości, ani o pewnych względach społecznych. Zwrócę ci uwagę tylko na jedno. Pan de Restaud ma matkę, która pochłonęłaby miliony, kobietę źle urodzoną, pannę Goriot, o której w swoim czasie dużo mówiono. Postępowała tak źle ze swoim ojcem, że z pewnością nie zasługuje na to, aby mieć tak dobrego syna. Młody hrabia ubóstwia ją i broni jej z oddaniem godnym największych pochwał, dba zwłaszcza czule o brata i siostrę. Mimo że to postępowanie jest bardzo piękne – podkreśliła wicehrabina – dopóki matka jego żyje, każda rodzina bałaby się powierzyć temu chłopcu przyszłość i majątek młodej panny.

– Dostyszałem kilka słów, które budzą we mnie ochotę wmieszać się między panią a jej córkę – wykrzyknął przyjaciel domu. – Wygrałem, panie hrabio – rzekł, zwracając się do przeciwnika. – Porzucam pana, aby biec w sukurs pańskiej siostrzenicy.

– To się nazywa mieć uszy adwokackie – wykrzyknęła wicehrabina. – Kochany panie Derville, jakim cudem mógł pan słyszeć to, co ja mówiłam po cichu do Kamilli?

– Zrozumiałem pani spojrzenia – odparł Derville, siadając w berżerze² przy kominku.

Wuj usiadł przy siostrzenicy, a pani de Grandlieu umieściła się na kanapce między córką a Dervillem.

– Czas, pani wicehrabino, abym pani opowiedział pewną historię, która zmieni pani sąd o majątku hrabiego Ernesta de Restaud.

– Historię! – wykrzyknęła Kamilla. – Niechże pan prędko zaczyna.

Derville rzucił na panią de Grandlieu spojrzenie, z którego zrozumiała, że to opowiadanie powinno ją zająć. Wicehrabina de Grandlieu była przez swój majątek i dawność nazwiska jedną z najznamienitszych kobiet w dzielnicy Saint-Germain; o ile zaś kogo dziwi, aby adwokat paryski odzywał się do niej tak poufale i zachowywał się w jej domu tak bez ceremonii, łatwo będzie wytłumaczyć tę osobliwość. Pani de Grandlieu, wróciwszy do Francji wraz z rodziną królewską,

¹ w siedemnastu latach – dziś: mając siedemnaście lat. [przypis edytorski]

² berżerka a. berżera – niski, szeroki, wyściełany fotel z cofniętym oparciem i siedzeniem, na którym kładziono poduszkę. [przypis edytorski]

osiadła w Paryżu, gdzie żyła zrazu jedynie z zasiłków przyznanych przez Ludwika XVIII z listy cywilnej. Było to położenie nieznośne. Adwokat miał sposobność wykryć pewne nieprawidłowości w sprzedaży pałacu Grandlieu dokonanej niegdyś z ramienia Republiki i orzekł, iż pałac powinien być zwrócony wicehrabinie. Podjął się tego procesu na swoje ryzyko i wygrał. Zachęcony powodzeniem, natarł tak skutecznie na jakieś przytulisko, że uzyskał odeń zwrot lasu Liceney. Potem wydobył jeszcze jakieś akcje kanału Orleańskiego i pewne dość znaczne nieruchomości, którymi cesarz wyposażył był zakłady publiczne. W ten sposób, dzięki zręczności młodego adwokata, majątek pani de Grandlieu osiągnął sumę blisko sześćdziesięciu tysięcy franków dochodu, nim prawo o odszkodowaniach zwróciło jej ogromne sumy. Adwokat ten, człowiek nieskazitelnej uczciwości, uczony, skromny i dobrze wychowany, stał się od tego czasu przyjacielem rodziny. Mimo iż postąpienie jego z panią de Grandlieu zyskało mu szacunek i klientelę najlepszych domów dzielnicy Saint-Germain, nie korzystał z tego wzięcia tak, jakby mógł korzystać człowiek ambitny. Opierał się naleganiom wicehrabiny, która chciała, aby sprzedał swoją kancelarię i przeszedł do sądownictwa, gdzie dzięki wysokim protekcjom uzyskałby od razu szybki awans. Z wyjątkiem pałacu Grandlieu, gdzie spędzał czasami wieczory, bywał w świecie jedynie tyle, ile było trzeba dla podtrzymania stosunków. Było dlań wielkim szczęściem, że oddanie jego pani de Grandlieu wydobyło na światło jego talenty, gdyż groziło mu, że jego kancelaria zmarnieje. Derville nie miał duszy adwokackiej.

Od czasu, gdy hrabia Ernest de Restaud wszedł w dom wicehrabiny i odkąd Derville odkrył sympatię Kamilli do tego młodzieńca, zaczął bywać u pani de Grandlieu bardzo pilnie; rzekłbyś, mieszczński dandys świeżo dopuszczony na arystokratyczne salony. Kilka dni przedtem znalazł się na balu koło Kamilli i rzekł wskazując młodego hrabiego:

– Szkoda, że ten chłopiec nie ma jakich dwóch albo trzech milionów, nieprawdaż?

– Czy to nieszczęście? Nie sądzę – odparła. – Pan de Restaud ma wielkie zdolności, jest wykształcony, a minister, przy którym pracuje, ceni go wysoce. Nie wątpię, że zajdzie daleko. *Ten chłopiec* znajdzie majątek, jakiego sam zapragnie, skoro przyjdzie do władzy.

– Tak, ale gdyby już był bogaty?

– Gdyby był bogaty – rzekła Kamilla, rumieniąc się. – Ależ wszystkie młode panny, które są tutaj, wydzierająby go sobie – dodała, wskazując tańczące pary.

– I wówczas – odparł adwokat – panna de Grandlieu nie byłaby tą jedyną, na którą by zwracał oczy. Dlatego się pani rumieni! Podoba się pani, nieprawdaż? No, niech pani powie.

Kamilla wstała nagle.

„Kocha go” – pomyślał Derville.

Od tego dnia Kamilla była nadzwyczaj uprzejma dla adwokata, spostrzegłszy, że on pochwała jej skłonność. Aż dotąd, mimo że znała wszystkie zobowiązania rodziny wobec Derville'a, było w jej obejściu więcej grzeczności niż prawdziwej sympatii, więcej uprzejmości niż uczucia, zachowanie jej i ton zawsze mu dawały odczuć oddalenie, jakie etykieta stawiała między nimi. Wdzięczność to jest dług, który dzieci nie zawsze przyjmują w spadku.

– Ta historia – rzekł Derville po pauzie – przypomina mi jedyny romansowy wypadek w moim życiu. Już śmiejecie się państwo, słysząc, jak adwokat mówi wam o romansie w swoim życiu! Ale i ja miałem dwadzieścia pięć lat jak każdy inny, a w tym wieku widziałem już bardzo osobliwe rzeczy. Muszę zacząć moje opowiadanie od osobistości, której państwo nie możecie znać. Chodzi o lichwiarza. Wyobraźcie sobie twarz bladą i wyblakłą, którą, za pozwoleniem Akademii, chciałbym nazwać *miesięczną*³: podobna była do srebra, z którego zeszło złocenie. Włosy mego lichwiarza były gładkie, starannie uczesane, popielato-szare. Rysy twarzy, niewzruszonej jak twarz Talleyranda, zdawały się odlane z brązu. Małe oczka, żółte jak u kuny, nie miały prawie rzęs i lękały się światła, ale daszek starego kaszkietu chronił je od blasku. Szpiczasty nos był tak cienki na końcu, że można by go porównać do świdra. Wargi miał cienkie jak owi alchemicy i starcy malowani przez Rembrandta lub

³ *miesięczny* – tu: księżycowy. [przypis edytorski]

Metsu⁴. Człowiek ten mówił cicho, łagodnym głosem i nie unosił się nigdy. Wiek jego był zagadką: nie sposób było zgadnąć, czy on zestarzał się przed czasem, czy też zaoszczędził swą młodość, iżby mu służyła zawsze. Wszystko w jego pokoju było schludne i wytarte; podobne, od zielonego sukna na biurku aż do dywanika przed łóżkiem, do zimnego sanktuarium starej panny, która cały dzień wyciera z kurzu meble. W zimie głównie na kominku, zawsze zagrzebane w popiele, dymiły, nie dając ognia. Czynności jego od godziny wstania aż do wieczornego napadu kaszlu były regularne jak zegar. Był to poniekąd *człowiek-automat*, którego sen nakręcał. Jeżeli dotknąć stonogi idącej po papierze, zatrzyma się i udaje nieżywą; tak samo i ten człowiek urywał w pół zdania i przestawał mówić, gdy zaturkotał powóz, aby nie podnosić głosu. Na wzór Fontenelle'a oszczędzał siłę żywotną i skupiał wszystkie uczucia ludzkie w swoim ja. Toteż życie jego upływało bez hałasu niby piasek w starożytnej klepsydrze. Czasami jego ofiary krzyczały, unosiły się; potem robiła się wielka cisza jak w kuchni, w której zarzyna się kaczkę.

Pod wieczór człowiek-weksel zmieniał się w zwykłego człowieka, a jego metale przeobrażały się w serce ludzkie. Jeżeli był rad ze swego dnia, zacierał ręce, wypuszczając przez popękane szczeliny twarzy dym wesołości, niepodobna bowiem inaczej wyrazić niemej gry jego mięśni, w której malowało się wrażenie podobne do śmiechu. Przy tym nawet w największych napadach uciechy rozmowa jego była jednosylabowa, a zachowanie zawsze negatywne.

Takim był sąsiad, którego przypadek dał mi w domu, gdzie mieszkałem przy ulicy des Grès, kiedy byłem dopiero drugim dependentem i kończyłem trzeci rok prawa. Dom ten, bez dziedzińca, był wilgotny i ciemny. Okna wychodziły tylko na ulicę. Zakonny rozkład, wedle którego budynek podzielony był na pokoje jednakiej wielkości, wychodzące na długi korytarz oświetlony małymi okienkami, świadczył, że dom ten stanowił niegdyś część klasztoru. Na ten smutny widok wesołość młodego utracjusza gasła, nim jeszcze wszedł do mego sąsiada: dom i jego mieszkaniec były do siebie podobne. Można by rzec, ostrzyga przyczepiona do skały. Jediną istotą, z którą się komunikował, byłem ja: zachodził do mnie po ogień, pożyczał ode mnie książek, dzienników, pozwalał mi wieczorem wchodzić do swej celi, gdzie rozmawialiśmy, kiedy był w dobrym humorze. Te objawy zaufania były owocem czteroletniego sąsiedztwa i mego dobrego prowadzenia się, które dla braku pieniędzy bardzo było podobne do jego życia. Czy on miał krewnych, przyjaciół? Czy był bogaty, czy biedny? Nikt nie mógłby odpowiedzieć na te pytania. Nie widziałem nigdy u niego pieniędzy. Majątek jego musiał zapewne spoczywać w piwnicach banku. Sam ściągał swoje weksle, biegając po Paryżu nogą chyżą jak u jelenia. Był zresztą męczennikiem swej ostrożności. Jednego dnia przypadkiem miał przy sobie złoto; nie wiadomo, jak wysunął mu się napoleon z kieszeni. Lokator, który szedł za nim po schodach, podniósł pieniądz i podał mu go.

– To nie moje – odparł z gestem zdziwienia. – Ja i złoto! Czyżbym tak żył, jak żyję, gdybym był bogaty?

Rano sam sobie przyrządzał kawę w cynowej fajerce, która zawsze stała w ciemnym kącie kominka; obiad przynoszono mu z garkuchni. Stara odźwierna przychodziła sprzątać o stałej godzinie. Wreszcie dziwnym trafem, który Sterne nazwałby przeznaczeniem, człowiek ten nazywał się Gobseck.

Kiedy później zajmowałem się jego interesami, dowiedziałem się, iż w chwili, kiedyśmy się poznali, miał siedemdziesiąt sześć lat. Urodził się w roku 1740 na przedmieściu Antwerpii, z matki Żydówki i ojca Holendra i nazywał się Jan Ester Van Gobseck. Pamiętacie państwo, jak cały Paryż zajmował się zamordowaniem kobiety zwanej *Piękną Holenderką*? Kiedy wspomniałem o tym przypadkiem memu dawnemu sąsiadowi, rzekł, nie zdradzając najmniejszego zainteresowania ani zdziwienia: „To była moja cioteczna wnuczka”.

Oto wszystko, co zeń wycisnęła śmierć jego jedynej i wyłącznej spadkobierczyni, wnuczki jego rodzonej siostry. Dowiedziałem się z rozprawy, że istotnie piękna Holenderka nazywała się Sara

⁴ Gabriel Metsu (1629–1667) – malarz holenderski. [przypis edytorski]

Van Gobseck. Kiedy go spytałem, jakim sposobem siostrzenica nosiła jego nazwisko, odpowiedział z uśmiechem:

– W naszej rodzinie kobiety nigdy nie wychodziły za mąż.

Ten szczególnie człowiek nigdy nie chciał widzieć żadnej osoby z czterech żeńskich generacji swoich krewnych. Nienawidził spadkobierców i nie wyobrażał sobie, aby jego majątek mógł kiedykolwiek należeć do kogo innego, nawet po jego śmierci. Miał dziesięć lat, kiedy matka wsadziła go jako chłopca okrętowego na okręt płynący do kolonii w Indiach, gdzie przeżył dwadzieścia lat. Toteż zmarszczki na jego pożółkłym czole zachowały tajemnice straszliwych wypadków, nagłych lęków, niespodzianych przygód, romantycznych przepraw, frenetycznych radości: wycierpiany głód, zdeptaną miłość, majątek zagrożony, stracony, znów odzyskany, życie wiele razy w niebezpieczeństwie, ocalone może dzięki owej decyzji, której srogość znajduje wymówkę w pośpiechu i konieczności. Znał niegdyś admirała Simeuse, pana de Lally, pana de Kergarouët, pana d'Estaing, sędziego Suffrena, pana de Portenduère, lorda Hastings, ojca Tipposaiba i samego Tipposaiba. Ów Sabaudczyk, który służył Madhadży-Sindjach, królowi Delhy i tak bardzo przyczynił się do potęgi Mahrattów, robił z nim interesy. Miewał stosunki z Wiktorem Hughes i wielu sławnymi korsarzami, bo długo przebywał na wyspie św. Tomasza. Tylu rzeczy się chwycił, aby zrobić majątek, że próbował odkryć złoto tego tak sławnego dzikiego plemienia w okolicy Buenos Aires. Nie był wreszcie obcy żadnemu z wypadków wojny o niepodległość Ameryki. Ale kiedy mówił o Indiach lub o Ameryce, co mu się nie zdarzało z nikim, a bardzo rzadko ze mną, robił wrażenie, jakby popełniał niedyskrecję, jakby żałował tego. Jeżeli ludzkość i współzycie ludzi są religią, jego można by uważać za ateusza. Mimo że postanowiłem go przeniknąć, muszę wyznać ze wstydem, że do ostatniej chwili serce jego zostało nieprzeniknione. Zapytywałem niekiedy sam siebie, do jakiej płci on należy. Jeżeli wszyscy lichwiarze są do niego podobni, sędzę, że wszyscy są rodzaju nijakiego. Czy został wierny wyznaniu matki i uważał chrześcijan za swój łup? Czy został katolikiem, mahometaninem, bramanem lub lutrem? Nigdy niczego się nie dowiedziałem o jego przekonaniach. Zdawał się raczej obojętnym niż niedowiarkiem.

Pewnego wieczoru wszedłem do tego człowieka, który stał się złotem i którego przez żart lub szyderstwo ofiary jego, zwane przezeń *klientami*, nazywały *papą Gobseckiem*. Siedział na fotelu nieruchomy jak posąg, z oczyma utkwionymi w okapie kominka, jakby tam odczytywał swoje rachunki. Dymiąca lampa, o podstawie niegdyś zielonej, rzuciła blask, który nie tylko nie barwił jego twarzy, ale uwydatniał jej błądliwość. Popatrzał na mnie w milczeniu i wskazał krzesło, które na mnie czekało.

„O czym ten człowiek myśli? – mówiłem sobie. – Alboż on wie, czy istnieje Bóg, uczucie, kobiety, szczęście?”

Żałowałem go tak, jakbym żałował chorego. Ale rozumiałem też, że jeżeli posiada w banku miliony, może posiadać myślą ziemię, którą przebiegł, zgłębił, zważył, oszacował, wyssał.

– Dzień dobry, ojciec Gobseck – rzekłem.

Obrócił ku mnie głowę, grube czarne brwi zbliżyły się lekko; ten charakterystyczny gest odpowiadał u niego najweselszemu uśmiechowi południowca.

– Jest pan tak ponury, jak w dniu, gdy panu oznajmiono o bankructwie owego księgarza, którego zręczność pan tak podziwiał, mimo że padłeś jej ofiarą.

– Ofiarą? – rzekł zdziwiony.

– Wszak aby zyskać ugodę, spłacił pana wierzytelność weksłami podpisanymi przez firmę w bankructwie, kiedy zaś podniósł się znowu, skorzystał z redukcji przyznanej w ugodzie?

– Sprytny był – odparł – ale ja go później dostałem.

– Ma pan zatem jakie weksle do protestu? Mamy dziś trzydziestego, o ile mi się zdaje.

Pierwszy to raz mówiłem z nim o pieniądzach. Podniósł na mnie drwiące oczy, po czym swoim cichym głosem, którego tony podobne były do dźwięków, jakie dobywa z fletu niezręczny uczeń, rzekł:

– Bawię się.

– Więc pan się bawi czasami?

– Czy sądzisz, że poetami są tylko ci, co pisują wiersze? – spytał, wzruszając ramionami i spoglądając na mnie z politowaniem.

„Poezja w tej głowie!” – pomyślałem, bo jeszcze nie znałem jego życia.

– Jakież istnienie mogłoby się równać z moim? – ciągnął i oko jego ożywiło się. – Jesteś młody, myślisz swoją krwią, w głowniach na kominku widzisz twarze kobiece; ja w moich widzę tylko węgle. Wierzysz we wszystko, a ja nie wierzę w nic. Zachowaj swoje złudzenia, jeżeli możesz. Zrobię ci bilans życia. Czy będziesz podróżował, czy też będziesz siedział przy kominku przy spódnicy żony, zawsze przychodzi wiek, w którym życie jest już tylko nałogiem uprawianym w pewnym wybranym kole. Szczęście polega wówczas na użytkowaniu naszych talentów w zastosowaniu do realności. Poza tymi dwoma pewnikami wszystko jest fałszem. Moje zasady zmieniały się jak zasady ludzi, musiałem je zmieniać wedle szerokości geograficznej. To, co Europa podziwia, Azja karze. To, co jest występkiem w Paryżu, staje się koniecznością, skoro się przebędzie Azory. Nic nie ma tu stałego, są jedynie obyczaje, które się zmieniają zależnie od klimatu. Dla kogoś, kto z konieczności wciskał się we wszystkie formy społeczne, zasady i moralność są tylko słowem bez treści. Zostaje w nas jedyne szczere uczucie, jakie nam dała natura: instynkt samozachowawczy. W waszych europejskich społeczeństwach instynkt ten nazywa się *interesem osobistym*. Gdybyś żył tyle co ja, wiedziałbyś, że istnieje tylko jedna rzecz materialna, której wartość jest dość pewna, aby się nią człowiek zaprzętał. Ta rzecz... to złoto. Złoto przedstawia wszystkie siły ludzkie. Podróżowałem, widziałem, że wszędzie są góry i wszędzie doliny: doliny nudzą, góry męczą; miejsce nie znaczy tedy nic. Co się tyczy obyczajów, człowiek jest wszędzie taki sam: wszędzie istnieje walka między ubogim a bogatym, wszędzie jest nieunikniona; lepiej tedy być wyzyskującym niż wyzyskiwanym. Wszędzie istnieją ludzie muskularni, którzy pracują, i limfatyczni, którzy się trapią. Wszędzie rozkosze są te same, bo wszędzie zmysły się wyczerpują i przeżywa je tylko jedno uczucie, próżność! Próżność to zawsze *ja*. Próżność da się zaspokoić jedynie strumieniem złota. Nasze zachcenia wymagają czasu, środków fizycznych lub starań! Otóż złoto zawiera wszystko w załączku, a daje wszystko w rzeczywistości. Jedynie wariaci lub chorzy mogą znajdować szczęście w tym, aby tasować karty co wieczór dla przekonania się, czy wygrają kilka groszy. Jedynie głupcy mogą obracać swój czas na dowiadrywaniu się, co się dzieje, czy ta a ta pani położyła się na kanapie sama lub w towarzystwie, czy ma więcej krwi niż limfy, więcej temperamentu niż cnoty. Jedynie naiwni mogą się uważać za ludzi użytecznych swoim bliźnim, zajmując się wytyczaniem zasad politycznych, aby rządzić wypadkami zawsze nieprzewidzianymi. Jedynie dudki mogą paplać o aktorach i powtarzać ich koncepty; odbywać codziennie, tylko na większej przestrzeni, przechadzkę zwierzęcia w swojej klatce; ubierać się dla drugich, jeść dla drugich, chełpić się koniem lub powozem, które sąsiad może mieć dopiero w trzy dni po nich. Czyż to nie jest życie waszych paryżan streszczone w paru zdaniach? Spójrzmyż na życie z bardziej wysoka niż oni. Szczęście polega albo na silnych wzruszeniach, w których spala się życie, albo też na periodycznych zatrudnieniach, które zeń czynią regularnie funkcjonującą angielską mechanikę. Ponad tymi rodzajami szczęścia istnieje ciekawość, rzekomo szlachetna, poznania tajemnic natury albo też niejakiego naśladowania jej objawów. Czyż to nie jest, w dwóch słowach, Sztuka lub Wiedza, namiętność lub spokój? Otóż wszystkie namiętności ludzkie spotęgowane grą waszych społecznych interesów defilują przede mną żyjącym w spokoju. Waszą ciekawość naukową, tę walkę, w której człowiek zawsze jest pobity, zastępuję przenikaniem wszystkich owych sprężyn, które poruszają ludzkością. Jednym słowem, posiadam świat bez zmęczenia, a świat nie ma nade mną najmniejszej władzy. Posłuchaj pan – dodał – w jaki sposób spędziłem poranek, a zrozumiesz moje rozkosze.

Wstał, zasunął rygiel, zaciągnął starą portierę, chrzęszcząc kółkami na drucie, i wrócił na swoje miejsce.

– Dziś rano – rzekł – miałem do podjęcia tylko dwa weksle, resztę wetknąłem w wilię⁵ klientom jako gotówkę. Czysty zysk! Bo przy eskoncie odciągam kurs, jakiego wymaga odebranie pieniędzy, ściągając dwa franki na urojoną dorożkę. Czyżby nie było śmieszne, aby klient zmuszał mnie do przebycia Paryża dla sześciu franków eskontu, mnie, który nie podlegam nikomu, który płacę tylko siedem franków podatku! Pierwszy weksel na tysiąc franków puszczonego przez młodego człowieka, ślicznego chłopca w haftowanych kamizelkach, z lornetką, kabrioletem, angielskim konikiem, etc., podpisany był przez jedną z najpiękniejszych kobiet w Paryżu, żonę bogatego właściciela, hrabiego. Czemu ta hrabina podpisała weksel, żaden z punktu prawnego, ale doskonały w praktyce, bo te biedne kobiety tak lękają się skandalu związanego z protestem, że raczej oddałyby same siebie w zapłatę, niżby miały nie zapłacić? Chciałem poznać sekretny walor tego weksłu. Głupota, nierozwaga, miłość czy miłosierdzie? Drugi weksel na taką sumę, z podpisem Fanny Malvaut, przedstawił mi wespół zrujnowany handlarz płótna. Nikt mający jakikolwiek kredyt w banku, nie przyjdzie do mojej nory, gdzie pierwszy krok uczyniony od drzwi do biurka zdradza rozpacz, wiszące nad głową bankructwo, a zwłaszcza kolejną odmowę wszystkich bankierów. Toteż widuję jedynie szczute jelenie gonione przez sforę wierzycieli. Hrabina mieszkała przy ulicy du Helder, Fanny przy ulicy Montmartre. Ileż robiłem przypuszczeń, wychodząc z domu dziś rano! Jeśli te dwie kobiety nie są wypłacalne, przyjmą mnie z większym szacunkiem niż rodzzonego ojca. Ile komedii zagra mi ta hrabina za swoich tysiąc franków! Przybierze wyraz pieszczotliwy, będzie do mnie mówiła tym głosikiem, którego słodczyce przeznaczone są dla wystawcy weksła, będzie mnie obsypywała jedwabnymi słówkami, będzie błagała może, a ja...

Tu starzec rzucił na mnie swoje martwe spojrzenie.

– A ja niewzruszony! – podjął. – Stoję tam jak mściciel, zjawiam się jak wyrzut sumienia. Ale porzucimy domysły. Przybywam.

– Pani hrabina jeszcze śpi – mówi pokojówka.

– Kiedy ją będzie można zobaczyć?

– W południe.

– Pani hrabina chora?

– Nie, proszę pana, ale wróciła z balu o trzeciej rano.

– Nazywam się Gobseck, proszę jej powiedzieć moje nazwisko, będę tu w południe.

I odchodzę, znacząc mą obecność na dywanie zaścielającym schody. Lubię walać błotem dywany bogaczy, nie przez dokuczliwość, ale aby im dać uczuć szpon konieczności.

Zaszedłszy na ulicę Montmartre, do skromnego domu, otwieram starą bramę i widzę ciasny dziedzińczyk, gdzie słońce nie zagląda nigdy. Izdebka odźwiernego ciemna, szyba podobna do rękawa zbyt długo noszonego szlafroka, tłusta, ciemna, poszczerbiona.

– Panna Fanny Malvaut?

– Wyszła, ale jeżeli pan przychodzi z wekslem, są pieniądze.

– Wrócę później – mówię.

Skoro odźwierny miał pieniądze, chciałem poznać młodą dziewczynę; wyobraziłem sobie, że musi być ładna. Spędzam ranek na oglądaniu rycin wystawionych na bulwarze, po czym w południe przebywam salon poprzedzający sypialnię hrabiny.

– Pani dzwoniła na mnie w tej chwili – mówi panna służąca – wątpię, aby ją można było zobaczyć.

– Zaczekam – mówię, siadając w fotelu.

Otwierają się żaluzje, panna służąca wbiega i mówi.

– Pani prosi.

Ze słodczy jej głosu odgadłem, że pani nie ma pieniędzy na weksel. Jakże piękna była kobieta, którą wówczas ujrzałem! Zarzuciła w pośpiechu na nagie ramiona kaszmirowy szal, który

⁵ w wilię (daw.) – wczoraj. [przypis edytorski]

tak szczelnie otulał jej kształty, że można było odczytać ich nagość. Peniuar przybrany riuszkami białymi jak śnieg świadczył, że pani musi wydawać rocznie około dwóch tysięcy na pranie. Czarne włosy wymykały się w grubych puklach spod chusteczki niedbale zawiązanej sposobem kreolek. Rozrzucone łóżko świadczyło o niespokojnym śnie. Malarz zapłaciłby chętnie, aby móc być przez kilka chwil świadkiem tej sceny. Pod rozkosznie upiętymi draperiami poduszka rzucona na niebieską jedwabną kołdrę, której koronki rysowały się wyraźnie na tym błękitnym tle, zachowała w pół zatarty odcisk kształtów, pobudzający wyobraźnię. Na szerokiej skórze niedźwiedziej, zasłanej u stóp lwów rzeźbionych w mahoniu łóżka błyszcząły białe atlasowe pantofelki porzucone niedbale przez osobę zmęczoną balem. Na krześle pognieciona suknia włoczyła się rękawem po ziemi. Pończochy, które zdmuchnąłby najłżejszy przeciąg, leżały skręcone pod fotelem. Białe podwiązki spływały z kozetki. Kosztowny, na w pół rozwinięty wachlarz lśnił się na kominku. Szuflady komody były otwarte. Kwiaty, diamenty, rękawiczki, bukiet, pasek, leżały porozrzucane. Czulem w powietrzu mdłą woń perfum. Wszystko tchnęło tam zbytkiem i nieładem, pięknnością bez harmonii. Ale już przyczajona pod spodem nędza wysuwała głowę i pokazywała ostre zęby jej lub jej kochankowi. Zmęczona twarz hrabiny podobna była do tego pokoju zasłanego szczątkami zabawy. Te rozrzucone szmatki budziły we mnie politowanie; skupione razem przywiodły kogoś wczoraj do szaleństwa. Te ślady miłości porażonej wyrzutem, ten obraz marnotrawstwa, zbytku i szumu zdradzały tantalowe wysiłki dla schwycenia umykających uciech. Lekkie różowe plamki na twarzy młodej kobiety świadczyły o delikatności cery, ale rysy były jakby nabrzmiałe, a ciemna obwódka pod oczami zdawała się silniej zarysowana niż zwykle. Ale natura jej była dość silna, aby te ślady wybryków nie kaziły jej piękności. Oczy jej błyszcząły. Podobna do owych Herodiad stworzonych pędzlem Leonarda da Vinci (handlowałem niegdyś obrazami), wspaniała była życiem i siłą. Nic nie było wątpliwe w jej kształtach ani rysach: budziła miłość i zdawała się silniejsza od miłości. Podobała mi się. Od dawna już moje serce nie zabiło. Byłem tedy już zapłacony! Dałbym tysiąc franków za wrażenie, które by mi przypomniało moją młodość.

– Proszę pana – rzekła, podając mi krzesło – czy pan będzie łaskaw zaczekać?

– Aż do jutra południa, proszę pani – odparłem, chowając weksel, który jej przedstawiłem – mam prawo zaprotestować dopiero o tej godzinie.

Przy czym w duchu mówiłem sam do siebie:

„Zapłać za swój zbytek, za swoje nazwisko, zapłać za swoje szczęście, zapłać za przywileje, których zażywasz. Aby ubezpieczyć swoje dostatki, bogacze wymyślili trybunały, sędziów i tę gilotynę – świecę, w której spalają się naiwni. Ale dla was, co sypiacie na jedwabiu i pod jedwabiem, istnieją wyrzuty, istnieją zgrzytania zębów skryte pod uśmiechem i paszcze tajemniczych lwów, które was kąsają w serce”.

– Protest! Pan to serio mówi? – wykrzyknęła, patrząc na mnie – miałaby pan dla mnie tak mało względów?

– Gdyby król mi był winien, pani, i gdyby mi nie zapłacił, pozwałbym go jeszcze prędzej niż każdego innego.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

– Nie ma mnie! – zawołała rozkazująco młoda kobieta.

– Anastazjo, ja chciałbym cię zobaczyć.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.